

I

DOM

Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Szliśmy wtedy wąską, brukowaną drogą do A. i moje ciało drżało ze strachu i zmęczenia. Byłem dzieckiem bardzo wrażliwym i łatwo popadałem w zachwyt, ale tamtego poranka nie czułem ekscytacji, która tak często towarzyszyła ciągłym wędrówkom. Nie dzieliłem zachwyty mojej matki, której serce, wibrujące w klatce piersiowej niczym nadpobudliwy kanarek, drżącą amplitudą naruszało pracę mojego. Właśnie wstawało słońce i wszystko mieniło się najróżniejszymi odcieniami złota. Była to ta krótka chwila, kiedy wszystko błyszczy; krótkie przejście między intensywną czerwienią wczesnego wschodu, przywodzącą na myśl dojrzałe pomidory, a zwykłą żółcią, która miała trwać aż do południa, kiedy to surowe, włoskie słońce farbuje i pola, i dachy, i drzewa na ten dziwny odcień mlecznego błękitu.

Nie miałem już sił, ale mama wciąż powtarzała, że za niedługo będziemy na miejscu, że chwilę się prześpimy, a ona przygotuje mi *dulce de leche*, a ja odpowiedziałem jej, po hiszpańsku, choć dobrze wiedziałem, że nie lubi, kiedy posługuję się tym językiem:

– *Nosotros estamos ramando en dulce de leche, mamá*, a rzekłem to na tyle głośno, że usłyszała i wyczułem u niej moment zawahania. Mocniej ścisnęła mi rękę, jakby obawiała się, że ucieknę. Jej dłoń była mokra, drżała, a jednocześnie jej uścisk zawierał w sobie zapewnienie, że to jest to miejsce. Nie będzie więcej tułaczki, bezkresnego szukania tego, czego nie mogła nigdzie znaleźć. Tu czuła się dobrze.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, żar spływał z nieba - bezlitosny i zwodniczy. Monumentalna brama przecięła nam drogę; jej nieprzejezdny ogrom jednoznacznie wyznaczył koniec naszej wędrówki. Matka przesunęła ją na tyle, że zdołałem się przecisnąć, a potem i ona, choć z większym trudem i z większą ilością wymruczanych pod nosem przekleństw. Zanim przekroczyliśmy ogrodzenie, miejsce to wydawało mi się wysuszone i martwe - zdołałem dojrzeć w końcu tylko koronę drzew i bramę z białego kamienia, wykonaną z należytym dla kruszcu szacunkiem setki lat wcześniej. Lecz było ono raczej jak pudełko z czekoladkami - to, co najpiękniejsze kryło się w jego wnętrzu.

Po obu stronach zwirowej drogi rosły żywotniki. Były na tyle rozległe, że odcinały nas od świata z zewnątrz znacznie skuteczniej niż kamienne ogrodzenie. Przytulone blisko siebie oddzielały sferę sacrum od profanum. Pomiedzy nimi nic nam nie groziło. Na zewnątrz świat był niebezpieczny i agresywny; w tym niewielkim wycinku, jak mrówka zamknięta pod szklanką, mieliśmy żyć jak w mydlanej bańce, nie-skalani grzechami społeczeństwa z krwi i kości. Na czubku *cabeza de alfiler*, główki od szpilki, trwaliśmy z dala od trosk, a przynajmniej tak mi się wydawało. Pamiętam dokładnie jeden ze snów, który często pojawiał się podczas popołudniowej sjesty, kiedy to ogień panoszył wszystko wokół, ale zatrzymywał się przed naszą bramą i jakby niechętnie się cofał.

Po paru chwilach marszu droga rozdzielała się. Mogliśmy kontynuować wędrówkę i iść prosto, albo skrócić w lewo, po drodze z zakurzonego kamienia, który pozostawiał na czubkach naszych butów pomarańczowy pył. Skręciliśmy, ponieważ moja matka zawsze kierowała się ciekawością godną profesora historii.

Łączyły mnie wtedy nikłe powiązania z życiem. Moje ciało, niczym pajacyk w teatrze lalek, drżało niekontrolowanie, uwiązane na wątyłach nitkach, których wytrzymałość wystawiana była każdego dnia na co raz większą i pyszniejszą próbę. Co wieczór zasypiałem przy akompaniamencie własnego kaszlu, w

nocy budziłem się mokry, próbując odkaszcchnąć wydzielinę, która zalewała mi płuca, a rano przyglądałem się w lustrze, nie zdając sobie sprawy, że niknę w oczach, że kości przebijają mi skórę, a ta traci kolor i nie ma już koloru moreli, jak z ormiańskiej flagi, a przypomina teraz barwę karraryjskiego marmuru, upstrzonego paroma plamami pastelowego różu. Latem opalałem się ile mogłem, wedle przesądu, że słońce wyleczy wszystko, od gruźlicy po kiłę. Ale *il sole è nuovo ogni giorno*, słońce każdego dnia jest nowe - dzień po dniu zapominało musnąć mnie na tyle, aby uspokoić moją matkę, dać jej odrobinę nadziei, że następnego dnia nie znajdzie mnie sztywnego w łóżku.

Do Włoch przyjechaliśmy z różnych względów. Matka dostała dobrze płatną pracę na uniwersytecie w B., na tyle dobrą, że po opłaceniu leków, ciągle zostawało coś na czynsz i na coś do przekąszenia. W B. znajdował się też świetny ośrodek, zajmujący się beznadziejnymi przypadkami, takimi jak mój. W tamtym momencie nie wiedziałem jeszcze, że umieram i nie miałem dowiedzieć się o tym przez długi czas. Wtedy liczyła się tylko droga, skrawek łóżka, kawałek stołu, krzesło, które mógłbym wreszcie oswoić i nazwać własnym.

Minęliśmy starą szopę, okrążyliśmy zagajnik z gęsto zrosniętych ze sobą tui i ukazała nam się willa z litego kamienia, ale trzeba zobaczyć to, co nigdy nie było widziane, zobaczyć jeszcze raz to co już zobaczone, zobaczyć na wiosnę to, co widziało się latem i zobaczyć za dnia to, co widziało się w nocy. Aby wydać opinię, musiałem usidlić to miejsce, musiałem się tu kiedyś wkurzyć, rozplakać, zaśmiać i umrzeć.

Kiedy spałem, czułem dotyk mojej matki; delikatne, niemal niewyczuwalne ciepło, które co chwilę upewniało się, że mój organizm jest jeszcze w stanie wykrzesać na tyle energii, by unieść choć odrobinę klatkę piersiową. Moje ciało niczym Wieczne Miasto zapadało się pod własnym ciężarem, a ona nic nie mogła na to poradzić. Dlatego tylko bezradnie obserwowała mnie we śnie, jeszcze wtedy nieświadomego, że śmierć stoi nad tym łóżkiem i łaskocze mnie w stopy i że to może właśnie ciepło śmierci co chwilę mnie budzi i otwiera mi oczy. Nienawidziła *dormilónes*, sama była rannym ptaszkiem i wstawała jeszcze przed wschodem słońca, ale zdawała sobie sprawę, że potrzebuję dużo snu, szczególnie po tak intensywnym dniu, a podobno słońce i sen działają cuda. Pozwoliła mi więc spać, a ja, przykuty do jej biodra upewniałem się, że wciąż jesteśmy tą samą gliną, tym samym blokiem kamienia, którym byliśmy jeszcze kilka lat temu przed moim narodzeniem.

Obudziło mnie zachodzące słońce, sączące się leniwie przez na wpół otwarte drzwi. Nigdzie jej nie widziałem. Rozglądałem się po pokoju, wreszcie odnosząc wrażenie, że nie śnię na jawie, ale że fizycznie przebywam w tym pomieszczeniu, które jest mi tak obce. Ze ścian zwisała sromotnie tapeta, która z pewnością pamiętała jeszcze lata sześćdziesiąte. W kącie stał telewizor obity drewnianą sklejką. Teraz potrafię sobie wyobrazić całą rodzinę, osiadłą na kanapie jak nietknięty do niedawna kurz, matkę i córki, oglądające z zaangażowaniem *La Stradę*, zazdroszcząc urody Giulietcie Masinie albo może i *Arabeskę* z Sophią Loren, albo ojca, wciągniętego w urywki Igrzysk Olimpijskich, które akurat miały miejsce w 1960 roku w Rzymie. To zabawne, jak nawarstwiamy wspomnienia własnymi przemyśleniami. Najpierw zauważyłem tylko kolor tapety. Lata później doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie przyklejono ją w latach sześćdziesiątych. Teraz dorysowuję postaci, takie jakie się rysuje na tyłach zeszytu i umiejscawiam je na wysłużonej kanapie. Choć dopiero obecnie nadaję im jakieś sylwetki, nawet najprostsze i dające ogólne pojęcie jak ludzkie ciało powinno wyglądać, czułem ich obecność już w najmłodszych latach, w rzeczach znalezionych, porzuconych i niechcianych, a może w biegu zapomnianych. Wydawało mi się, że widziałem ich cienie pod figowcem, kiedy słuchałem już jako nastolatek The Cranberries albo Enyi, w błogim upojeniu, spowodowanym słodkim *farniente*. Miałem wrażenie, że czułem ich zapach, kiedy budziłem się na tarasie wczesnym rankiem - słodką woń daktyli, przegotowanego makaronu, śmietany i cacioricotty ze świeżo zebraną bazylią. Słyszałem ich tupot w deszczu, nerwowe przesuwanie książek, ale kiedy wstawałem wszystko było na miejscu, nietknięte, ciche i martwe. Kiedy w ciemności próbowałem znaleźć drogę do pokoju, myślałem, że jestem tak blisko złapania gościa, który wtedy stał się gościem, a wcześniej był lokatorem, za poły płaszcza, albo przynajmniej za halkę, jeśli ten gość oka-

załby się być kobietą, o ile duchy uniżają się jeszcze do utożsamiania się z jakąkolwiek z płci. Ale nie takiego się nigdy nie zdarzyło. Niewiele martwych, a jeszcze mniej żywych przewinęło się przez nasz dom.

Kanapa, na której leżałem obita była zielonym materiałem w barwne bohomazy. Tuż obok telewizora stał mały, czarny piecyk, który od czasu do czasu pohukiwał ostrzegawczo. Ciemny korytarz po prawej prowadził do nieznanego mi pomieszczenia. Co to mogło być za miejsce? Nie chciałem odkrywać wszystkiego od razu. Pragnąłem oswoić pomieszczenie, w którym się znajdowałem. Dotykałem szorstkiego obicia; czułem intensywny zapach zgnilizny i wilgoci, pomieszanej z odorem zwietrzałych ubrań, nie wiedząc, że ta woń będzie mnie nawiedzała jeszcze przez długie lata, niczym duch, którego możesz złapać w nierozsądnie kupionej zabawce na pchlim targu. Trwało to dłuższą chwilę, ale moja pamięć skutecznie wytepiła wszystkie zmysły, które próbuję uwolnić z chłopca, który jeszcze teraz siedzi w zabitej dechami chacie zwanej umysłem. Jedyne, co mogę odtworzyć, to kolory - pasek żółci, który niedbale rzucało słońce na przeciwległą ścianę, szarość podłogi i biel szafek. Kiedy delikatnie zamykałem oczy, pod powiekami tańczyły różne odcienie pomarańcza, kiedy zaciskałem je mocniej, widziałem tylko purpurę. Jako dziecko zawsze miałem problemy ze zaśnięciem, szczególnie w ciemności, kiedy wydawało mi się, że widzę białe plamy, które wydawały się spływać po gałkach ocznych, aby zaraz potem pojawić się z powrotem, niespodziewanie. Był to horror rodem z obrazu Kandinskiego - bohomazy, rzucone niedbale, spędzające sen z powiek.

Mamy nie było jeszcze przez chwilę. Kiedy wróciła, zapytała, dlaczego nie zjadłem *dulce de leche* i że zaraz ugotuje coś na szybko, może *locro*, jeśli mam ochotę, albo makaron z pomidorami. Zmierzyła mi temperaturę i pogładziła czoło, delikatnie, tak, jak to robi matka.

Spędziłem w tym domu lata, ale mój umysł, który nie potrafił umiejscowić siebie na osi czasu, ani zamknąć siebie w żadnym przedziale, spędził tam setki lat, zanurzony w literaturze i muzyce, w kinematografii, w całkowitej ciszy, albo i wręcz przeciwnie - we wrzaskach albo w beczeniu owiec. Zanurzałem się w tym świecie, płakałem, bo tak bardzo poruszało mnie piękno wysuszonych od sierpniowego słońca żdzbeł trawy, i ciepłych promieni na policzku, i szumu wysokich drzew, i zapachu cytrusów z drzew państwa C.. Il dolce far niente - słodka radość nierobienia niczego. Mój umysł, zaburzony dyschronometrią, nie odmierzał już czasu i nie wiedziałem, czy w środku nicości spędziłem już dziesięć lat, czy dopiero pół godziny, czy to już czas wracać do domu, czy też to właśnie teraz zaczynało się życie. Odnosiłem wrażenie, że żyję w przeszłości, w alternatywnej rzeczywistości - nie docierało do mnie to, że to, co przeżywam to nie są wspomnienia, ale to dzieje się t e r a z, że mam prawo naruszyć bieg tej historii. Żyłem sierpniem dziewięćdziesiątego szóstego.

Właścicielem willi, naszego skromnego domku oraz wszystkiego aż po kamienne mury, była rodzina C., bogata i wpływowa, będąca bardzo dobrze znana w A., głównie dzięki najmłodszemu z synów, który angażował się w politykę regionu. Budynek, w którym mieszkali, zbudowano na początku szesnastego wieku, a pamiątką tego był ciężki, granitowy blok z niedbale wyrytą datą, spoczywający w sali jadalnej obok małej spiżarni. Moja mama używała go do blokowania drzwi, które miały tendencję do przygniatacia palców i zatraskiwania się w najmniej oczekiwanych momentach. Często pomagaliśmy urządzać przyjęcia, które wystawiali państwo C., głównie dlatego, że potrzebowaliśmy pieniędzy, a oni potrzebowali rąk do pracy. Przepych w ich spiżarni zawsze przyprawiał nas o niekontrolowane skurcze żołądka.

Przyjęcia organizowano przeważnie na tyłach willi, w miejscu oddzielnym od naszego domu, tworząc bańkę wewnątrz bańki, jeszcze bezpieczniejszą niż tą, w której mieszkaliśmy my. Dokładnie pamiętam ciężkie, kamienne ławy wystawione w ogródku, pochylające się nad nimi drzewa, na których zawieszono okrągłe lampy, dzięki czemu ogródek wydawał się być oddzielnym pokojem w willi, na tyle ogromnym, że ich nikłe światło nie docierało do ścian, które spowijał gęsty mrok. Na kolację przychodziły panie w wielkich kapeluszach i długich czarnych sukniach, których tren zbierał igiełki i liście. Przychodzili też panowie, którzy znali się na polityce i mieli własne pomysły na to, jak poprawić dobro-

był mieszkańców miasta, albo przynajmniej swój własny. Była też zawsze Rosamunda, matka Lorenzo, właściciela willi i babcia Cipriano, polityka, do którego tak tłumnie ustawiali się pseudo entuzjaści. Ona przychodziła jednak tylko po koreczki serowe i nie angażowała się w żadną rozmowę - siedziała na tarasie i odgradzona od tłumu wykładała karty, pilnując by wosk ze świec, które tak bardzo lubiła, nie zalewał wizerunków królów, dam i waletów. Podczas przyjęć, z kuchni zawsze wydobywał się cudowny zapach gotującego się mięsa, woń ziemniaczanego purée i cytrynowej sałatki, a wszystko to w postaci gęstej, wiszącej nisko chmury porywane było przez wiatr, a ja wdychałem to jak obłok z tytoniowego dymu. Całą posiadłość okalała winnica, której winogrona wykorzystywane były do produkcji jednego z najlepszych win w całej Puglii, a przynajmniej tak słyszałem, choć to pewnie był jedynie marketingowy bądź polityczny chwyt. Winem tym, które nazwano *Negroamaro*, zawsze częstowano podczas uroczystości i każdy podziwiał jego smak, który ponoć był idealnie kwaśny i słodki, z perfekcyjną nutą goryczy i kwiatowym posmakiem. Posesja była zlepkiem historycznej nostalgii i uporczywą, choć nieudaną próbą ratunku tego, co już dawno upadło, a więc znaczenia rodziny C. na arenie politycznej. Dlatego był tu też kort do tenisa, boisko do piłki nożnej z zieleniutką trawą, którą wymieniano co wiosnę, ale mimo to zawsze rosły na niej stokrotki i boisko do siatkówki, które stało akurat za naszym domkiem. Wszystko to miało na celu udowodnić, że rodzina C. potrafi funkcjonować w nowoczesnym świecie, pozbawionym tak dokładnie zarysowanej hierarchii. Był też i garaż z jasnego kamienia, w środku którego znajdowały się przeróżne ciekawe artefakty - arabskie flety, figurki greckich i rzymskich bożków z brązu i gipsu, wysłużone maski z papier mâché, które były pewnie pozostałością poprzednich lokatorów, ale też przedmioty, które z założenia do garażu należą - czyli błotniki, pompki do rowerów i wytarte kierownice. W garażu stały zawsze dwa samochody marki Volkswagen 1300. Białe należał do pani C. - Appii, granatowy zaś do Lorenzo. Należeli bowiem do ludzi, którzy uważali, że mężczyźni powinni jeździć samochodami o ciemnym kolorze, a kobiety jasnym.

Państwo C. mieli również sad owocowy, tuż obok boiska do piłki nożnej, w którym rosły cytryny i klementynki. Cytryny nigdy nie stawały się większe niż piłeczki do ping ponga, a klementynki okazywały się co roku niesamowicie kwaśne i miękkie. Gniły szybko, czasem jeszcze na gałęziach, a jeśli udawało im się przeżyć odrobinę dłużej, to natychmiast stawały się ofiarami żerujących kruków. Była też i wiśnia, która jednak niemal nigdy nie kwitła, a nie ścięto jej tylko z powodu zawieszanej nań huśtawki, która kojarzyła się Lorenzo z dzieciństwem. Moim ulubionym drzewem był jednak zawsze figowiec, który rósł za garażem, w miejscu najbardziej nasłonecznionym i suchym. To po nim się wspinałem - na samym czubku owoce były najśłodsze. Pakowałem je do plecaka, a później dawałem mamie, a ona przygotowała figówkę, którą zachowywała na specjalne okazje. Tuż za naszym domem rosły oleandry, których zapach zawsze motywował mnie do wstania z łóżka. Były to niewysokie krzewy o kwiatach różowych bądź białych, które wypełniały powietrze słodkim zapachem śmierci. Przywodził on na myśl panie z telewizora, z wyszminkowanymi ustami i ostrym makijażem, które okazywały się być płatnymi mordercami. Oleandry rosły też blisko boiska, a ich historia była jeszcze mocniej związana ze śmiercią niż cokolwiek innego, co znajdowało się na podwórzu państwa C..

W sierpniu 1956 roku Lorenzo C. wrócił z dwumiesięcznych wakacji w Brazylii, gdzie miał pojechać ze swoim ojcem, Francisco, którego tak brakowało mu przez dzieciństwo, bowiem ojciec spędził większość czasu w okupowanym przez Włochy Egipcie, gdzie ponoć gdzieś walczył albo coś bronił, albo był jakimś komendantem. Niemniej jednak to właśnie temu okresowi swojego życia Francisco przyporządkował wszystkie choroby, kaszle i bóle kręgosłupa. Zwykł mówić każdemu, że to wojna sprawiła, że wygląda mizernie i że to przez nią tak właśnie się czuje. Wszyscy wiedzieli, że cały okres wojny Francisco spędził w Egipcie, ale dzięki narzuconej odgórnie od prawników zasady *savoir-vivre*, według której nie należy o nic pytać, tylko usilnie podpowiadać, o czym opowiadający może jeszcze napomknąć, Francisco żył pełnią życia, wiedząc, że nie musi się przed nikim spowiadać. Każdy wiedział, że zostawił swoją żonę

i małego wtedy synka we Włoszech, nikt natomiast nie spodziewał się, że to w Egipcie przeżył najwspanialszą miłość, dużo gorętszą i bardziej namiętną niż ta, która z utęsknieniem czekała na niego w domu. Zastanawiano się natomiast, jakie miał zasługi, dlaczego nie dostał żadnej nagrody ani nie został uhonorowany przez władze państwowe; wiedzano jednak, że to w końcu konflikt zbrojny musiał wyniszczyć Francisco. Był bowiem mężczyzną o szlachetnym sercu, zawsze szczerym i o silnym kręgosłupie moralnym, czego nie mógł powiedzieć o swoim własnym, który ucierpiał podczas batalii - choć on sam w żadnej nie brał udziału. Jedyną walkę, jaką stoczył, była ta z własnym organizmem, który odmówił mu posłuszeństwa zaraz po ataku syfilisu, który złapał niczym nieostrożny żołnierz na polach minowych w rynsztoku z którąś z napalonych panien, których wtedy było tak wiele. Francisco, oprócz oczywistych mankamentów, był jednak mężczyzną wciąż silnym jak na swój wiek. Pieniądze przeznaczone na sacrum i profanum oddzielał bardzo restrykcyjnie. Wszyscy jednak wiedzieli, na co wolał trwonić swój majątek. Ksiądz spowiednik, który sam zresztą dzielił swoje życie na sferę świętą i ludzką, przychodził co niedzielę z kilkugodzinnym wyprzedzeniem, wprasząc się tym sposobem na obiad, który w dzień święty zawsze składał się z kilku dań. Chwilę później udzielał rozgrzeszeń, którymi sypał jak z rękawa, zwracając równocześnie uwagę na grzechy, których powinni się wystrzegać, sam zapominając o jednym, a istotnie bardzo kluczowym, który zawsze wypadał mu z głowy podczas konsumpcji duszonej dziczyzny.

Pewnej lipcowej niedzieli, podczas cotygodniowej homilii, którą spowiednik czytał Francisco vis-à-vis w bibliotece, która przybrała już woń kadzidła i wina, ksiądz Alberto odniósł się do wypowiedzianych wcześniej słów żony swojego pobratymca. Zwróciła ona bowiem uwagę na istotne braki w budżecie, jakich nie umiała wytłumaczyć. Podliczyła rachunki, wydatki na jedzenie, wypłaty dane szwaczkom, kucharkom, służbie zajmującej się odkurzaniem, praniem, prasowaniem i porządkiem na podwórzu i wciąż brakowało jej dość istotnego zera na fakturze, którą wystawiała co pół roku, dla własnego, świętego spokoju. Wiedziała, że liczne wyjazdy męża do Egiptu obciążyły nieco budżet, a ten więcej tracił niż zarabiał, ale nie spodziewała się, że aż do tego stopnia. Alberto, znając jednak dobrze naturę mężczyzn - przecież sam był jednym z nich - wiedział, z czego wynikają wydatki Francisco. To było pewne, Francisco musiał wydać pieniądze na kobiety, alkohol, tytoń, garnitury, drogie mieszkania, pokoje hotelowe, a może nawet hazard. Pewien był też fakt, że groźba wiecznego potępienia w płomieniach piekła nie wydawała się Francisco zbyt rzeczywista, skoro ten kłamał raz po raz podczas cotygodniowej spowiedzi, zatajając tak wiele grzechów ciężkich, niemal kpiąc z sakramentu pokuty. Zadaniem księdza Alberta było więc wyciągnięcie jak najwięcej informacji, upewniając Francisco, że jego świętym obowiązkiem jest zapewnienie mu miejsca w domu Pana - choć na pewno jest to miejsce mniej ekskluzywne niż to, na które ten wydawał tyle pieniędzy w Kairze.

- W domu Ojca jest mieszkań wiele - powiedział Alberto. - Ale ty musisz się teraz postarać choćby o schowek na miotły.

Francisco, który niemal natychmiast dodał dwa do dwóch, łącząc stan swojego zdrowia z jakże grzesznym życiem, które przez ostatnie lata wiódł, natychmiast się skruszył i wyjawiał spowiednikowi wszystko, wiedząc, że jego koniec może być bliżej, niż sądził. Zaczął od płatnych prostytutek, których było tak wiele w jego życiu, później opowiedział o hazardzie, nadużywaniu alkoholu, a nawet sodomii, aby zakończyć historię, która ciągnęła się aż do zachodu słońca - przez co obydwójce nie stawili się na wieczornej mszy - na romansie z niemiecką aktorką, którą poznał w Tripoli. Wyjawiał, że to ona jest miłością jego życia, że to ją utrzymuje, upewniając się, że każde miejsce, w którym mieszka, spełnia jej standardy, że to jej wysyła najdroższe prezenty, aby nigdy nie zapomniała o jego obecności. Wyznał też, że nie znosi swojego życia we Włoszech, że irytuje go jego żona, która uchyla się od pewnego niechlebnego obowiązku, o którym nie wypada mówić podczas spowiedzi, że jego syn wcale nie widzi w nim autorytetu i że nie zamierza już dłużej prowadzić tak dennego, pozbawionego ekscytacji życia. Wystarczyło

jednak jedno westchnienie księdza Alberto, aby uświadomić mu, że rozmawia z Bogiem, a nie z sędzią i nie powinien się z niczego tłumaczyć. Natychmiast się przeżegnał, zamknął oczy i czekał na pokutę, a może z braku nadziei nawet na groźbę wiecznego potępienia, która usprawiedliwiałaby jego ucieczkę. Ten jednak nie zamierzał go potępiać, spojrzał nań czule, poprawił okulary i kazał mu, w ramach pokuty, przekazać tyle pieniędzy, ile wydał na własne zachcianki podczas ostatnich pięciu lat na budowę dowolnego kościoła w słabiej rozwiniętym kraju. W ten sposób Francisco stał się głównym fundatorem bazyliki pod wezwaniem świętego Józefa w Barbacenie, której budowa zakończyła się osiem lat później. Nagrodą za jego wstawiennictwo miała być kamienna tablica, ukryta i niewidoczna na tyłach kościoła, jakby samoświadoma i okryta wstydem, i odpuszczenie win, których w końcu było tak wiele. Miał on również wstawić się na jej otwarcie, zjeść uroczystą kolację z biskupem i uśmiechać się do zdjęć. Życie dokonało jednak własnych weryfikacji i samo wymierzyło sprawiedliwość, zabijając Francisco trzy lata przed ukończeniem budowy jego bazyliki pod kołami pędzącego tramwaju. Sama postać niemieckiej aktorki przewijała się jeszcze parę razy, dlatego też nikt nie był pewien, czy sam pokutnik dostąpił życia wiecznego u boku Pana, czy trafił do bram piekieł, czy może też dryfuje gdzieś po próżni.

Dlatego też do Brazylii Lorenzo musiał jechać sam, choć wspomnienia o ojcu jeszcze nie wyblakły i tkwiły w nim głęboko zakorzenione jak drzazgi. Każda próba wyciągnięcia choć jednej z nich wywoływała w nim obezwładniający wstyd, ponieważ trzy lata nie wydawały mu się wystarczająco długim okresem bóleści, zdając sobie sprawę, że jego matka będzie nosiła żalobę do końca życia. Kiedy próbował choć na chwilę wyrwać się z wszechogarniającego go poczucia winy, uderzała go ponura rzeczywistość sytuacji - na tym świecie był zawsze tylko on sam i jego matka. Okres, w którym jego ojciec był w domu, był krótki i niewyraźny, jakby zamazany w pamięci. Pamiętał go podczas polowań, świąt i uroczystości, ale w jego rozpamiętywaniach zawsze stał do niego tyłem, zaangażowany w rozmowę z nieznajomymi albo ze wzrokiem skupionym na wszystkich, tylko nie na nim. To chyba właśnie tego Lorenzo bał się najbardziej - że jego śmierć nadejdzie niespodziewanie, a wszystkie niedopowiedzenia, które tak tliły się w jego głowie już na zawsze tam pozostaną. Lorenzo do Brazylii pojechał więc sam. Miał być gościem honorowym, zastępującym ojca. Matka była przeciwna; może bała się, że jej serce nie wytrzyma już więcej samotności.

Pewnego lipcowego wieczoru - już w Brazylii - Lorenzo wybrał się do cyrku. Występy rozgrywały się pod gołym niebem; kiedy na chwilę zgasły światła reflektorów, które miały przygotować widzów na gwiazdę wieczoru, widział miliony gwiazd na ciemnym niebie, tak bardzo podobnym do tego we Włoszech. Może dlatego zakochał się w Donie de Marco, ubranej tamtego dnia w skąpy strój w barwach złota, iskrzący się w bladym świetle - kojarzyła mu się z gwiazdami, te kojarzyły mu się z jego rodzinnym miastem, a to kojarzyło mu się z dzieciństwem, za którym tak bardzo w tamtym momencie tęsknił. Jej makijaż błyszczał w świetle lamp, wymierzonych w niej jak złowróżbne armaty, gotowe rozerwać jej malutkie ciało na kawałki. Była najcenniejszym nabytkiem cyrku - to dla niej zjawiały się tłumy, mimo że reszta atrakcji była równie imponująca, bo były i słonie, i kobieta z brodą, i malutkie kobietki z Andów, i mężczyźni, połykający ogień, aby zaraz potem wypuścić go nosem. Mimo to wszyscy przychodzili tylko i wyłącznie dla Dony de Marco - mężczyźni, których pociągała wątrość jej ciała, biseksualne kobiety, które pragnęły gładzić jej brzuch, matki w nieszczęśliwych małżeństwach, które pożądały jej wolności i homoseksualiści, którzy przyszli tylko po to, by podziwiać jej najróżniejsze kreacje, zdobyte w obu Amerykach, wyszywane złotymi nićmi, ciężkie od nadmiaru kamieni, wszytych w najróżniejsze miejsca, nawet te niewidoczne. Ale tej nocy Dona de Marco wybrała Lorenzo, który bardziej od jej mięsa pragnął poznać tajniki jej duszy.

Ich historia miała być jednak krótka i tragiczna. Dona de Marco, uciekły z kochankiem do Włoch, została znaleziona martwa zaledwie trzy dni po przyjeździe, w nocnej koszuli i boa, które nosiła tylko na specjalne okazje, z kwiatami oleandrów, wplecionymi we włosy i wystającymi z jej ust. Znaleziono ją nad ranem, kiedy dopiero świtało, piękną, w tajemniczym półśmiechu, odrobinę może kpiącym z ze-

branych nad nią ludzi. W delikatnym świetle Lorenzo rozpoznał swoją ukochaną, zaraz po tym jak matka po niego posłała, ale nie odważył się wziąć jej w ramiona. Bał się chłodu jej ciała, które zawsze było tak gorące; obawiał się, że ostatnim wspomnieniem, jakie po niej by pozostało, byłaby sztywność jej kończyn. Kiedy się zjawiał, nic nie powiedział, nie zareagował w żaden sposób; pomyślał tylko, że do złudzenia przypomina Ofelię z obrazu Millais. Natychmiast kazał posłać po księdza i grabarza, miała zostać pochowana w dokładnie tym miejscu - zagajniku z krzewów oleandrów. Stwierdził, że może nawet sama wybrała miejsce swojego spoczynku, jakby spodziewając się, że przyczyną śmierci było samobójstwo. Nie zdecydował się jednak na sekcję zwłok - chciał, aby sprawa szybko ucichła. *W tym kraju za często wlecze się za nami śmierć*, pomyślał smutno i odszedł. Kiedy zapytano go, czy powinien napisać list do jej rodziny, powiedział, że ona nigdy nie miała rodziny. W ostateczności zaadresował list do jednej z małych kobietek, z którą się przyjaźniła, ale w końcu go nie wysłał, ponieważ sam nie wiedział, gdzie cyrk może się w tym momencie znajdować.

Powiedziano mi tę historię lata później, ale już wcześniej zapach oleandrów kojarzył mi się ze śmiercią. Kiedy chowałem swojego psa, Azję, starą suczkę rasy Kuvasz, która była tam zanim ja się pojawiłem, wiatr miał zapach nerium. Zamknąłem oczy, pogładziłem gęste futro Azji, poczułem słodki odór kwiatów i mój umysł już na zawsze zespoił tę woń z wizją nieuchronnej śmierci. A w ogrodzie było przecież i więcej kwiatów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jarevas, dodano 31.07.2018 17:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.